



Ten cytat z Johna Swintona (1829-1901) - wieloletniego wydawcy New York Timesa, wypowiedziany gniewnym tonem pewnego wieczora 1880 roku na bankiecie na jego cześć, wydanym przez jego pracowników, padł w odpowiedzi na czyjąś próbę wzniesienia toastu za pomyślność niezależnej prasy. Pojawiwszy się w Nowym Jorku Swinton pisywał dla NYT okazjonalne artykuły, przyjęto go w końcu na etat, gdzie się systematycznie piął w górę, aż w 1860 został wydawcą. Gazetę opuścił dziesięć lat później i zaangażował się w działalność związków zawodowych. Następnie przepracował 8 lat na analogicznej pozycji w The New York Sun, a jeszcze później zaczął wydawać biuletyn dla związków zawodowych pod tytułem *John Swinton's Paper*

.

Coś takiego jak wolna prasa nie istnieje. Wy o tym wiecie, i ja to wiem. Żaden z was się nie porwie na uczciwe wypowiedzenie swego zdania, a gdybyście to zrobili, to z góry wiedzielibyście, że się nigdy nie ukaże w druku. Płacą mi tygodniówkę za to, bym swoje opinie trzymał jak najdalej od gazety, z którą jestem związany. Inni z was są podobnie opłacani za podobne rzeczy, a każdy wystarczająco głupi, by pisać szczerze, szybko trafi na bruk szukać innej pracy. Gdybym sobie pozwolił na to, by moje szczerze opinie przelać na papier w tylko jednym wydaniu gazety, to utraciłbym pracę przed upływem 24 godzin. Zadaniem dziennikarzy jest niszczyć prawdę, kłamać prosto w oczy, wypaczać, szkalować, płaszczyć się u stóp mocnych i sprzedawać ten kraj i jego naród za codzienny chleb. Ja to wiem i wy to wiecie, więc po co te toasty za niezależne dziennikarstwo? Jesteśmy narzędziami i marionetkami pociąganyymi za sznurki przez zakulisowych bogaczy. Kukielkami tańczącymi w takt melodii, jakie oni grają. Nasze talenty, nasze możliwości i nasze życia są własnością innych ludzi. Jesteśmy intelektualnymi prostytutkami (*)

W dzisiejszej Europie motto skonstruowane z wypowiedzi Swintona jest wskaźnikiem wyróżniającym modnych i obytych autorów tekstów o "czwartej władzy" i "demokracji mediów" z tłumem autorów nieobytych i nie znających się na rzeczy. Cytat tłumaczony z jednego języka na kolejny przez autorów, ściągających od siebie nawzajem internetowe wersje tekstów, coraz bardziej oddala się od oryginału, nawet nazwisko po niemiecku i francusku niekiedy bywa zapisywane jako Swaiton, a nie Swinton, i bywa, że się autorom mylą stulecia, ale nieodmiennie po cytacie pada jakieś "no proszę, tyle lat, ponad stulecie minęło, a się nic nie zmieniło!"

Ale dalej, wbrew przesłaniu swego motta, zwykle piszą autorzy o "mediokracji", albo "demokracji mediów", czyli o takiej - jakoby dzisiejszej - rzeczywistości politycznej, w której media sprawują władzę - gdyż mają wpływ na wynik wyborów, na to, kto i jakie obejmie stanowisko w układzie władzy i jak długo się na nim utrzyma, kreują polityczne nastroje, przedstawiają rankingi szkół i praktycznie decydują o preferowaniu ich przez młodzież. Demokracja mediów to świat, w którym media przestają być władzą czwartą, a aspirują do pierwszej, i w którym wszystko jest im podporządkowane: politycy władzy ustawodawczej i wykonawczej, przedstawiciele władzy sądowniczej i organów sprawiedliwości dbają głównie o to, by dobrze wypaść przed kamerą, wszelkie wydarzenia polityczne i publiczne dopasowuje się do trybu pracy redakcji, a to, co nie zostało sfilmowane i opisane w czołówkach gazet, to się po prostu nie wydarzyło. Tak to przynajmniej wygląda w mitologii "globalnej wioski" - ale czy mit ma cokolwiek wspólnego z rzeczywistością?

Sami dziennikarze głęboko wierzą w swą zawodową wszechmoc i równie często, jak cytują Swintona, myślą o sobie jak o wyjątkowych arystokratkach ducha i społecznych emocji, traktują nawzajem jak celebrytów, udzielają jedni drugim wywiadów i nagród w prime time, a w Polsce, co jest jednak wyjątkowe, tak dalece myślą swą rzeczywistą pozycję społeczną z mityczną, że z pełną powagą i bynajmniej nie w prasie brukowej zastanawiają się, jakie szanse miałby kolega, gdyby go wystawili na prezydenta państwa ot, tak sobie, spoza sceny politycznej? Bo skoro są tak potężne, to po co kandydatowi mediów jakieś partie polityczne, statuty i składki? Wystarczą programy telewizyjne, sprawna gadka i przypudrowany nos, ściśnięcie otumanionego elektoratu żelazną pięścią kampanii medialnej - i już, wygrana jest możliwa... A przecież nie tak dawno temu zakończył się ustrój, którego władza miała takie możliwości, jakie się dzisiejszym mediom nawet nie śnią: posiadali nie tylko wszystkie media, ale też wojsko i siły bezpieczeństwa zdolne utrzymać całe społeczeństwo z dala od jakichkolwiek wrażliwych podszeptów, zakłóceń i alternatywnych źródeł informacji - a i to tylko do czasu. I bez lektury dzieł socjologów Polacy powinni intuicyjnie wiedzieć, że oddziaływanie technik propagandowych i indoktrynacyjnych w systemie demokratycznym musi - z natury rzeczy - być wielokrotnie słabsze, niż w ustroju totalitarnym. Pomysły w rodzaju wystawienia kandydatury Tomasza Lisa czy Jolanty Kwaśniewskiej w wyborach prezydenckich nigdy się nie powinny pojawić, a jednak się pojawiły. Towarzystwo było ślepe na to, że Hillary Diane Rodham Clinton była nie tylko żoną swego męża, lecz samodzielny politykiem, a pierwowzór Tomasza Lisa Silvio Berlusconi (nie w sensie poglądów, lecz środowiska, z którego się wywodzi) - jest właścicielem imperium medialnego, a nie medialnym celebrytem, bardzo bogatym człowiekiem, który miał po swojej stronie wnuczkę Mussoliniego i pozostałości elit postfaszystowskich zanim jeszcze zdecydował się utworzyć partię Forza Italia. Losy Stana Tymińskiego, a później partii Leppera i Giertycha wskazują, że nie tylko, że scena polityczna się profesjonalizuje, ale też, że elektorat bardzo dojrzał w stosunku do początków lat 90-tych, kiedy oszołomieni ludzie zachłystywali się kapitalizmem i wolnością. Wszędzie na świecie przedstawiciele Czwartej Władzy poprawiają sobie humor samouwnioślając się i przerysowując własne znaczenie, ale w Polsce to jakby poszło dalej, niż gdzie indziej, u ludzi skądinąd niegłupich. Czemu?

Można spekulować, że być może owo specyficznie polskie zakłócenie percepcji środowiska dziennikarskiego wynika z zauroczenia pozycją, jaką przez wiele lat zajmował na polskiej scenie Adam Michnik - aktualnie dziennikarz. Rzeczywiście przez wiele lat niezwykle potężny i wpływowy, zdolny nie tylko otwierać i zamykać dyskusje, ale też mieć realny wpływ na wydarzenia polityczne z pierwszych stron gazet. Ludziom starającym się przebić przez wytworzony przez niego cień, nastawionym konkurencyjnie, mogło się w gruncie rzeczy podobać, że pracują w tym samym zawodzie; a w miarę upływu czasu coraz chętniej mogli zapominać, że polityczna potęga Michnika nie wynika ani z tego, że jest dziennikarzem, ani nawet z tego, że ma swoją gazetę. Dałby sobie radę i bez niej - choć to brzmi jak herezja w uszach zarówno przeciwników, jak i miłośników Gazety Wyborczej, to Michnik pisywał i pisuje stosunkowo rzadko. Każdy jego tekst każda redakcja by wzięła z pocałowaniem ręki - ze względu na własny, finansowy interes. Być może dlatego swego czasu odmówił wzięcia akcji Agory - nie potrzebował ich, to oni potrzebowali jego. Podobnie jego ogromna intuicja polityczna, wyrażająca się w umiejętności obracania sytuacji na swoją korzyść, przecież przez tyle lat skuteczna, nie wynikała ani z umiejętności pisania, ani z bycia dziennikarzem. Michnik jest przede wszystkim bardzo doświadczonego, politycznym i salonowym praktykiem, który od czasu do czasu sam pisze. Być może michnikowska potęga zafunkcjonowała po pewnym czasie jako potencjalna, a dla niektórych realna, zdolność całego środowiska dziennikarskiego.

2. W Polsce po 1989 roku rozwinęło się (poza nielicznymi wyjątkami dziennikarstwa informacyjnego) głównie dziennikarstwo takie samo, jak wszędzie indziej w społeczeństwach demokratycznych, które ktoś kiedyś nazwał dziennikarstwem diskdżokejowym: dziennikarze za swoje główne zadanie uważają zabawianie publiczności, czemu podporządkowują informację, komentarze do niej i pamięć, że krew musi być na pierwszej stronie; ale kto czytuje czołówkę diskdżokei z NYT lub The Washington Post, ten widzi, że nie napiszą artykułu bez kilku telefonów do rozmaitych specjalistów i starannego przywołania ich opinii w tekście dla podparcia własnej. Takie zjawisko jest w Polsce absolutną rzadkością. Tu wszyscy pisują z wyżyn własnego geniuszu, samouwielbienia i bez jakichkolwiek konsultacji z uczelnianym gminem. Ale elokwencja rzadko kiedy wystarcza, by zakryć pustkę. Dlatego często kończy się tak, że porównanie politycznego publicyści skądinąd z Michnikiem wypada na korzyść Michnika, nawet, jeśli się ktoś z nim dogłębnie nie zgadza - bo dziennikarz Adam Michnik, nawet jeśli niczego z nikim nie uzgadnia, to bezustannie konsultuje się z wewnętrznym Michnikiem - doświadczonego graczem politycznym, a publicysta skądinąd, nawet jeśli ma w czymś rację, z chwilą, kiedy sobie nadmiernie zaufa, to może się konsultować co najwyżej z pustką we własnej głowie, zorientowaną na zgrabne pointy. W efekcie pisze dużo płycej, niż jego czy ją byłoby potencjalnie stać.

Dziennikarze, w tym publicyści, najczęściej bywają miernymi analitykami, zresztą, nie zdolności analityczne są potrzebne do uprawiania tego zawodu, tylko umiejętność zabawiania publiczności. Analitycy z kolei mają prawo być nudziarzami; ale pozostaną analitykami tylko

wtedy, gdy będą szczerze wyrażać, co myślą, a nie to, co chce usłyszeć zleceniodawca. O tej bolesnej różnicy między dziennikarzem a analitykiem najlepiej się przekonał Krzysztof Leski, współzałożyciel Gazety Wyborczej, który trafił do Wikipedii za to, że mu Adam Michnik powiedział na pożegnanie: "Krzysiu, jeśli ty chcesz tu robić wolną gazetę, to po moim trupie". Wyleciał na bruk dokładnie z powodów opisanych przez Swintona, a kto wie, może i w przewidzianym przez niego tempie? Z tych samych powodów swego czasu wyleciał z "Rzeczpospolitej" Bronisław Wildstein - mimo wszelkich antylustracyjnych presji na ówczesnego redaktora naczelnego mogło chodzić nie o lustrację, a o to, że marionetka urwała się ze sznurka i usiłowała zakręcić swoim właścicielem. A wolność marionetki kończy się w momencie, gdy wybierze swego pracodawcę.

3. Larry King, diskdżokej telewizyjnej publicystyki, cieszy się popularnością nie dlatego, że wykorzystuje swych gości do zademonstrowania telewidzom, jak bardzo jest piękny, mądry, sławny i potężny, lecz dlatego, że ze swego wycofania pomaga im zręcznymi pytaniami wydobyć z siebie to, co chcieliby powiedzieć i pomyśleć. Dlatego rozmówcy w jego programie mówią zazwyczaj coś, czego nigdzie indziej by nie powiedzieli. Ale Larry King byłby się obraził, gdyby ktoś go nazwał "dziennikarzem obiektywnym" w rozumieniu takim, jak to funkcjonuje w dzisiejszej Polsce.

Wypowiedź publicystyczna interpretuje i ocenia fakty z przyjętego przez autora punktu widzenia, celem jej jest zaś wpływ na opinię publiczną. Propaganda jest celowym działaniem zmierzającym do ukształtowania określonych poglądów i zachowań zbiorowości lub jednostki, polegającym na perswazji intelektualnej i emocjonalnej, czasem z użyciem jednostronnych, etycznie niewłaściwych lub nawet całkowicie fałszywych argumentów. Gdy propaganda zmierza do upowszechnienia trwałych postaw społecznych, poprzez narzucenie lub zmuszenie odbiorców do przyjęcia określonych treści, wtedy stanowi jeden z elementów indoktrynacji. Indoktrynacja jest procesem korzystającym z propagandy celem wpojenia określonych ideologii, poglądów lub przekonań. Wyróżniającą cechą indoktrynacji jest pozbawianie wiedzy o kierunkach wręcz przeciwnych do promowanych (uproszczone definicje za Wikipedią). Trzecią, unikalną cechą polskiego współczesnego dziennikarstwa jest to, że mu się te trzy bardzo różne pojęcia kompletnie pomieszały.

Najważniejszym elementem definicji publicystyki jest sformułowanie "z przyjętego przez autora punktu widzenia", które ją odróżnia od obu gorzej urodzonych sióstr, strojących się w szatki bezstronności i obiektywizmu. Larry King posiada swoje poglądy i jest do nich przywiązany. Czasem udaje się je w jego programie dostrzec. Człowiek zajmujący się publicystyką polityczną z natury rzeczy musi sobie jakieś poglądy wyrobić, wyciągnąć jakieś wnioski z tego co widzi i słyszy, i jak każdy przedstawiciel polskiego elektoratu wiedzieć, jak zagłosowałby, na jaką partię i za jaką opcją polityczną. Obiektywizm jego czy jej dziennikarstwa nie polega na odgrywaniu bezpoglądowego chłopka - roztropka, unoszącego się swobodnie nad sceną i mrugającego

oczkiem w dziele fraternizacji z mu podobnymi, czy arbitralnego sędziego rozstrzygającego gdzie leży absolutna prawda, lecz na tym, że zaprasza publiczność, aby dojrzała to, co i on, z jego, specyficznego punktu widzenia; stara się ją przekonać do tego, by również ten punkt widzenia przyjęła, pozostawiając jej wolność decydowania o sobie. Najwięcej propagandy, indoktrynacji oraz ordynarnego kłamstwa jest tam, gdzie własny punkt widzenia sprzedaje się jako absolutną i jedyną prawdę. Tymczasem dyskusja rozpętana za czasów premierostwa Jarosława Kaczyńskiego postawiła wszystko na głowie: dziennikarze przyznający się, że posiadają poglądy, i z ich punktu widzenia piszą, byli natychmiast bici przez obóz przeciwny po głowach - jako funkcjonariusze znieprawionego reżimu.

Po upadku rządu Jarosława Kaczyńskiego przez Gazetę Wyborczą przetoczyła się fala ekstazy i samozadowolenia, a przez teksty jej przeciwników - fala oskarżeń wypływających z głębokiego przekonania, że do upadku rządu Jarosława Kaczyńskiego przyczynił się czarny pijar i manipulacja "Wyborczej". Tylko czy publicyści Wyborczej rzeczywiście mają tytuł do samozadowolenia, a jej przeciwnicy - oburzenia?

Jak to więc było? Czy istotnie to kampania Gazety Wyborczej obaliła rząd Jarosława Kaczyńskiego, czy coś zupełnie innego?

Józef Dajczgewand i Bogumiła Tyszkiewicz (Planeta Terra).

**John Swinton, za: Labor's Untold Story, by Richard O. Boyer and Herbert M. Morais, published by United Electrical, Radio & Machine Workers of America, NY, 1955/1979*

Bogumiła Tyszkiewicz i Józef Dajczgewand. Autorzy prowadzą interesujący blog Planeta Terra

"Współgospodarzami tego bloga są Józef Dajczgewand- legenda Marca 68 oraz Bogumiła Tyszkiewicz, onegdaj uczestniczka Pomarańczowej Alternatywy. Pisujemy wspólnie nie tylko tutaj." Publikują również na portalu Salon24.pl